ROK X. WARSZAWA, 30 CZERWCA 1921 R. ZESZYT XII.

PLACÓWKA
KULTURY I SZTUKI

Sztuka „prawa" i „lewa".

Na zgromadzeniu Towarzystwa Zachęty do Sztuk Pięknych jeden z uczestników wyraził się o walce sztuki „prawej" z „lewą". Trzeba przyznać, że jest to rzeczywiście i dotąd nieznana nowa podstawa do klasyfikacji dzieł sztuki piękna, w danym razie sztuki malarskiej.

Sama klasyfikacja lub systematyka przedmiotów, z których każdy jest w istocie swej, jako na czysto osobowy i jedyny, niepowtarzalny, jak niepowtarzalne jest odczucie — nastrój, chyba w kopji to znaczy w naśladownictwie odtwórczem,—przy rozumowaniu ściślejszem nie może znaleść dla siebie uzasadnienia to jest stałego punktu oparcia. Znane są, liczne jak gwiazdy na niebie, często zabawne jak sądy Midasowe pomyłki tak zwanych krytyków estetycznych, przywdziewających dostojne szaty doktorów prawa lub matematyki. Kule biją nie w obrazy, lecz w szyby sufitów. Szkło tłuczone brzęczy. Jak wąż hieroglificznemi barwy centkowany wyślizga się talent z rąk klasyfikatorów. W ich dłoni, przy połowie, pozostają żaby-kijanki, płotki, ślimaki.

Talent? Sztuka to talent, a talent to sztuka. Unicum i niepowtarzalne chcecie uważać go za chorobę, za perłę na muszli, za swego rodzaju potworność? Dobrze i tak można. Powiecie, że to nadwartość, szelest skrzydeł geniusza, słyszany przez powszedniość. Dobrze. Mówicie że talent jest to wyjątek stwierdzający prawdę reguły i że jada się kartofel lub gruszkę; nie ich barwę lub kształt. Zgoda, że natura talent wydziedzicza... Jednakże skoro się urodził, skoro jest, nie wy-

klinajcie Boga, że urozmaicił wam żywot, zsyłając białego kruka wśród czarnych gap.

Słowem macie do czynienia z tajemnicą, co do której, że odwołamy się do najtęższego głowacza z przeszłych myślicieli polskich (nie zwarjował), do Michała Wiszniewskiego, niepodobna zastosować wnet obowiązującej oczywistości, że dwa razy dwa jest cztery. I dwa razy dwa nie może być... lampa, a kobieta Sienkiewiczowska niekiedy może mieć słuszność.

Jest inna, druga tajemnica sprzężona z talentem, jak Wezuwiusz z Etną podziemnym korytarzem law, a jest nią Wolność. Stanowi ona również wyjątek z reguły powszedniości i jest, a i będzie dla miljonów księgą niezrozumiałą pomimo sylabizowania i powtarzania. Wolność jest to talent moralny, jak tamten malarski (wogóle estetyczny) możemy mianować „zmysłowym". Wolną może być tylko jednostka obdarzona talentem moralnym, a to co nazywamy poczuciem wolności mas jest to zwierzęce dążenie do samowoli, do przekroczeń, którym talent nie zakreśla granic. Taka wolność jest jak niszczący wylew, katastrofa chwilowa, dopóki talent nie zapanuje nad nią, wtłaczając w swoje prawa. Wprawdzie na mgnienie epok tylko, gdyż wkrótce nastają naśladownictwa, kopje, nadużycia i... bunty. Circulus novus. I trzeba powierzchnię wód stojących znowu uderzyć kamieniem, aby poruszyć ją w kręgi życia.

Talenty bywają arcyróżne co do uposażenia w czwarty, piąty, i t. d.—wymiary, dzięki której to własności, stanowiącej o ich tajemniczość i wyjątkowość, mogą działać na trójwymiarową powszedniość. Podstawą jakiegokolwiek działania jest zasada różnicy t. j. nierówności, a najlepszy z kawałów, jakie kiedykolwiek udały się Luciferowi, (było ich wiele) jest to małżeństwo wolności z równością (egalité + liberté). Rzeczona suma równa się zeru to jest o wiele mniej niż śmierci, bo śmierć jest prawdopodobną przemianą, więc ciągłością życia. A to jest zero, coś tragiczniejszego od mąk Prometeusza. Posiada uroki niebo chrześcijańskie, muzułmańskie, Olimp, Walhalla, anioły, hurysy, muzy, posiadają je Hadesy i Tartory, rzeki i stepy błądzenia wiekuistego dusz, posiada je Dzień i noc Natury, Światowid i Czarny Boh i, wbrew twierdzeniu Dantego, najstraszniejsze z tych wielkich ubikacyj nie są bez-



Portret. Axentowicz.

Tow. Zach. Szt. Pięk.

nadziejne, bo są żywe. A przenieście spojrzenia na Dom Warjatów, na zero umysłu, na tę najnowszą świątynię ducha i wszechprzytułek, gdzie furjaci dla równości w imię wolności odgryzają sobie nosy. Bo taka jest przystań, do której dążą rządy ludzi bez poczucia wolności, bez talentu, gdy się dorwą do migawkowej władzy nad ludami.

Przecie nikt nie powie, że ta moja dysgresja w kierunku „wolności“ nie ma ścisłej łączności z wystawionym tematem. Talent jest to zdolność i umiejętność tworzenia wolnego. Zarówno ten, kto umiejętnie rządzi życiem politycznem jak i ten pobudzający, narzucający ludziom odczucia własne, połączeni są jednem misterjum—sztuką—talentem—wolnością, rozszerzającą dusze miljonów, zdejmującą kamienie z piersi niewolników. Stała obecność sztuki we wszystkich cywilizacjach umarłych i to bez wyjątku wymownie o tem świadczą. Plastyka, muzyka i rytmiczno-obrazowe słowo kres wolności, przedstawiały do jakiej —ich ludy rodziciele wzbić się mogły. Są to już dla nas księgi zamknięte. Możemy z nich brać kanony i stawiać kryterja. Ale czy te kanony i te kryterja dla nowej, żyjącej sztuki europejskiej (ma dopiero 1000 lat) mają być łańcuchem, wędzidłem, czy podnietą?

Z samego określenia sztuki, jako tworzenia przez wolność, płynąłby wniosek, że nowi ludzie, nowe społeczeństwa nie mogą poddać się tym kanonom. Ale sam wniosek logiczny nie miał by może zupełnej siły przekonywającej. Niewierni Tomasze miewają swoje racje. Ale empirja. Architekci gotyccy, acz przez Rzymian rzemiosła murarskiego nauczeni, odrazu przekroczyli kanony. Za nimi poszli poeci i plastycy. Nowa kultura powiedziała szanownej piastunce: sic volo. Był to piękny i pouczający początek.

Pisałem już w artykułach poprzednich, że cechą charakterycznie odrębną cywilizacji nowoczesnej jest silne poczucie indywidualności, które objawiało się w dążeniu do nieznanych starożytnym konstytucyj politycznych, jako rękojmi wolności. Taka psychika ludów, zakładających nową cywilizację na gruzach starej, nie mogła nie wydać olbrzymiej i różnorodnej sztuki. W ciągu tego krótkiego okresu, wieków dziesięciu, dzieje sztuki przelewają się jak fale morza. Odpływy i przypływy, rozkwity i przekwity i znowu dalej; stały jest tylko ruch widomy, ale natężenie fal, ich barwa i kształt coraz od-

mienne, choć jest to ciągle jedno i to samo morze. Cóż tu można przewidzieć gdzie i jakie powstaną lśniące w słońcu lub zaburzone grzywy? Morze żyje i nakazać mu coś z góry niepodobna. Co najwyżej można go wychłostać jak Kserkses. Wczujmy się w wolną hardość takiego Buonarottiego, Velasqueza lub Rembrandta, których dzieła nie narzucają żadnego kanonu, ale w najwyższym stopniu podniecają do rywalizacji twórczej, a za tem wczuciem się przyjdzie pewność zrozumienia, że sztuka europejska jest jeszcze studnią głęboką, której dna nie widać.

Skoro umysł, żądny uporządkowania i syntezy, chwyta za klasyfikację dzieł sztuki, w środowisku cywilizacyjnem in statu crescendi, na zasadzie faktów już byłych, acz świadom zasłonionej przyszłości rozwojowej, niepodobna mu tego wzbronić — zakazem: „nie stawiaj baraku z desek, który wkrótce przyjdzie rozebrać". Wolno postawić kryterja, byle uważać je za względne. Nawet poglądy na sztukę cywilizacji umarłych ulegają znacznym poprawkom w miarę przybywania nowych faktów ze świata wykopalisk, gdyż jak drobną jest ilość dzieł nam znanych w porównaniu do bezliku zaginionych.

U jednego z historyków sztuki, bogacza erudycji, znajdujemy ustęp następujący:

„Jakie losy czekają sztukę w stuleciu 20-tem? Przedewszystkiem nie będzie mowy o szkołach lokalnych. Dzięki łatwości i szybkości komunikacji nie ujrzymy już szkół rywalizujących i odmiennych na przestrzeni mil kilkunastu, jak to było w Atenach i w Argos, we Florencji i Perudżji, w Bruges i w Tournai. Od stulecia 18-go szkoły stały się nacjonalne: mieliśmy szkołę francuską, angielską, hiszpańską. W drugiej połowie stulecia 19-go wzięła górę szkoła francuska i zmierza do podania łona innym, ale jednocześnie jedność tej szkoły pęka. Znajdujemy w niej współzawodniczo klasyków, romantyków, realistów, idealistów, impresjonistów. Wszystko zmierza ku temu, że szkoły nie będą już nosiły nazw miast lub narodów. Współzawodnictwo będzie nie między krajami, a między zasadami. (Principes)".

Taki wniosek, mimo nęcące uproszczenie, nie zadawala. Przedewszystkiem widzimy niezatarte piętno jakie na każdem malarskiem dziele talentu wyciska narodowość. Tu już

nie chodzi o sztukę taką lub inną, ale o oko francuskie, włoskie, niemieckie.

Szkoła taka lub inna może odebrać wolność (przyrodzoną) tylko partaczom nie majstrom przez talent. Jeżeli kogoś możnaby nazwać wszechludzkim, to z pewnością na czele Lionarda da Vinci, jednakże Monna Liza jest Włoszką nad Włoszkami i całe dzieło jest arcy-włoskie. Im większy talent, tem łatwiej poznać, pod jakiem niebem i w jakiem środowisku wziął początek. Żadna zasada nie jest zdolna zmienić fizjologji Embrjonu, nadanej mu dziedzicznie. Można słabemu talencikowi przez zastrzykiwanie zasad odebrać osobowość i zrobić zeń laboratoryjnego homunculusa, ale talent duży z narodowości wykastrować się nie da, nawet wtedy, gdy pod naciskiem okoliczności przejdzie w potworność lub w dziwactwo. Stosuje się to do malarzów wszelkich możliwych klasyfikacyj: klasyków i romantyków, impresjonistów, pleinairzystów, kubistów i t. d.

Co do zasad i przymiotników klasyfikacyjnych, używanych w mowie i w druku w celu rozróżnień, jest już ich i dzisiaj spory pęczek, a w przyszłości prawdopodobnie powstanie jeszcze więcej. Punktów wyjścia dla artysty jest X plus jeden, ilość nieskończona i nieprzewidziana, a każdy z nich przez talent może wydać arcydzieła. Czy obraz wyjdzie z pracowni o świetle stłumionem, czy z plein-airu, czy z klasycznej kaligrafji, czy z impresjonistycznej stenografji, czy z pryzmy, czy z słuchu, a dla czegóżby nie miał wyjść i z fantastycznego światła siatkówek przy oku zamkniętem, wszystko to jest równouprawnione przez wolną wolę talentu, który wybrał coś dla tego, że to mu się nasunęło bezpośrednio, jako prawda malarska. Malarz intelektualista może dorzucić motywy z dziedzin poezji, wzbogacając świetną igraszkę barw mocnem tchnieniem psyche i dać powód do klasyfikacji na innych zasadach. W każdym razie o wartości dzieł rozstrzyga zawsze i tylko talent, to jest indywidualne zastosowanie zasad. Grupy, cyfry liczby, gromada, zbiorowość nie znaczą tu nic więcej nad jednostkę; zwykle znaczą mniej. Talenty wyławiają wartość zasad, zasady nie wyłonią żadnego talentu.

O tych oczywistościach nie warto by pisać, gdyby nasz okres Bibel-Babel nie wydał wojny istotnej zasadzie sztuki to jest indywidualności. Polska sztuka malarska od drugiej po-

łowy XIX stulecia tak wysoko wybujała po nad poziom kulturalny mas, że wrażliwość ogółu nie mogła za nią podążyć, a pośrednicy pomiędzy dziełami a publicznością, to jest krytycy swemi jednostronnemi i namiętnemi wystąpieniami często to niezrozumienie pogłębiali. Pamiętam jeszcze walkę o obrazy historyczne, jakgdyby temat obrazu mógł stanowić zasadę do jakiejkolwiek klasyfikacji. Byli tacy, co mieli cichy lub głośny żal do Matejki o to, że miał pasję do historji.

Ale w każdym razie te nieporozumienia i niezrozumienia ścierały się na gruncie estetycznym. Dzisiaj, śród górującej nad wszystko politycznej walki socjalnej, grozi sztuce niebezpieczeństwo nierównie większe. Widać energiczne usiłowania, aby ze sztuki zrobić narzędzie propagand. Na Helikonie ma powstać urząd inkwizycyjny de propaganda Demos, raczej demagodzy usiłujący wziąć artystów pod reguły polityczne. Słychać: sztuka prawa i sztuka lewa.

Co to jest? Plastyka wykonywana prawą lub lewą ręką, inspirowana prawem lub lewem okiem? Nowe principium artis? Ciekawe... Ale nie. Wrogie sobie plutony artystów, sympatycy socjalizmu i żydowstwa i antypatycy, lewica i prawica, sejm sztuki.

Ten bakcyl jest w powietrzu i grasuje epidemicznie. Czytaliśmy wezwania do zebrań „pracowników pióra“, to znaczy mniej więcej: „grafomani wszystkich krajów łączcie się“. W interesie mas jest niszczenie talentów, pod gilotyną. Czy tak? Oczywiście: zrównanie głów. Kadłuby przedstawiają małe różnice.

Z tych poruszeń możnaby wyłowić jedną dążność żywotną. Jest to potrzeba korporacyj artystów, czyli związków zawodowych. Przymawianie się artystów do rzemiosła, nietylko nie jest obniżeniem, ale podniesieniem. Wtedy muszą być niezbędne do uczniowskiego wyzwolenia majstersztyki, a poziom dzieł staje się przedmiotem ambicji korporacyjnej. Nie bierze się na odpowiedzialność nieuków, manjaków lub partaczów. Szkoła grupująca się około jakiegoś wielkiego talentu, około inicjatora nowego kierunku zakłada własną korporację i walczy o miejsce i o sławę, ale przez wystawę dzieł przepuszczonych przez własne kryterja. Bez doboru niema sztuki. Może publiczność ich narazie nie zrozumieć, ale niechaj się nie wyśmiewa. Nie przez hasła, ale przez dzieła.

Artyzm-rzemiosło stoi w zupełnej sprzeczności z wszystkiem, co możnaby podciągnąć pod pojęcie „proletaryzm“ lub „proletarjat“, które jest zaprzeczeniem temu, co nie powinno istnieć w społeczeństwie ludzkiem, ale nie posiada w swej treści nic twierdzącego, zatem twórczego. Proletaryzm i nihilizm to synonimy: nienawiść niszczyciela, ślepa, pragnienie nieugaszone żadną ambrozją życia, beznadziejność tułacza, który stracił ziemię pod nogami i niebo nad głową.

Jeżeli chodzi o ducha czasu, to w żadnem dziele nie widziałem go w takiem upłastycznieniu, jak w rzeźbie Meursier'a „l'Industrie“ (Luxemburg-Paryż). Pokażcie miljonom to dzieło, (dwie pracujące twarze) a prędzej uzdrowicie stosunki, niżeli pustemi kłamstwami i kłótniami parlamentarnemi. Ale w swej sile imponującej i tak nowoczesnej, jak żadna inna, nie masz nic „lewego“. Jest to sztuka wielka, arcypańska, prawa—prawa w znaczeniu grzyb prawy, nie psi.

Jeżeli potrąciłem o „nihilizm“, uczyniłem to dla tego, że pod pozorami walki młodych ze starymi, zdobywania miejsca przez nowe kierunki, i t. d., przy klasyfikacjach tak po fredrowsku zabawnych jak „prawa“ i „lewa“, we wszystkich tych starciach można wyraźnie dostrzec czarne nici nihilizmu. Pociąć Giocondę! Precz z starymi mistrzami! jakgdyby nie było za wiele miejsca na ziemi dla talentów, jakgdyby bogactwo ducha mogło rodzić pauperyzm. Wielcy umarli mają przeszkadzać? Czemu?

Nie rozcinać Giocondy, ani zakurzać je na strychach, jak muzealne trupy! Przeciwnie należy zacząć rozwozić je wszędy i pokazywać masom, które dotychczas nie miały sposobności rozwinąć oka dla wielkiej sztuki. Akty kształcenia idą po szczeblach, jak wszelkie doskonalenie w dziedzinie zbiorowości. Aby te nowe dzieła teraźniejszości i przyszłości, dzieła artystów, często rozdzielonych przepaścią od estetyczności poziomu mas, mogły być należycie odczute i zrozumiane, masy przejść muszą przez dzieła tamtych im bliższych i łatwiejszych. Gdyby młodzi bojowali o uruchomienie muzeów można by rzec, że jesteśmy na progu wielkiej epoki. Jeżeli przeciwstawiają się im, nie jest to święta rywalizacja i atmosfera rozwojowa, ale wyprawa apaszów po łup.

IGNACY OKSZA GRABOWSKI.

Walka z wiatrakami.

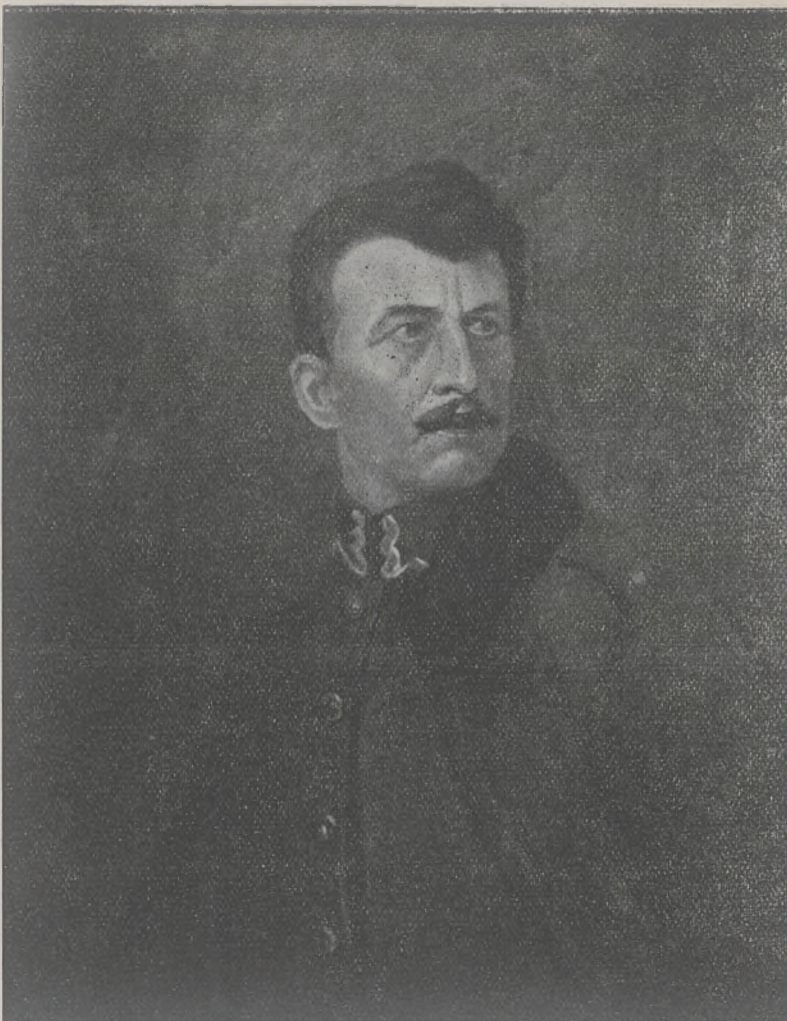
II. O kłamstwach życia powszedniego. Kłamstwa naszego powszedniego życia, tak wewnętrznego jak zewnętrznego, są różnorakie, swą genezę i trwałość zawdzięczają ogólnym warunkom egzystencji społecznej, rodzaje ich zaś wypływają z kilku źródeł, które postaram się scharakteryzować.

U większości ludzi istnieje tendencja do przedstawiania się w innych barwach niżeli tą w rzeczywistości. Obierają sobie pewne szablony, pewne typy wcielające ich — że je tak nazwiemy — aspiracje i przystrajają się odpowiednio, symulując indywidualności obce i grając komedję, komedję, ściśle biorąc, przed samymi sobą, starając się oszukać bliźnich w nadziei, że przez to sami będą się mogli dobrze odegraną rolą oszukać.

Typowym przejawem kłamstwa tego rodzaju jest snobizm, rozwijający się we wszystkich dziedzinach życia i w różnych ukazujący się kształtach, przyczem powtarza się tu prawdziwość morału „o belce w oku sąsiada i źdźble we własnem oku"; naogół snob nietylko nie zauważa ułomności u siebie, lecz z nadzwyczajną bystrością spostrzega ją u innych i krytykuje zawzięcie.

Zjawisko przybierania się w cudze piórka, przyswajania sobie sztucznego ja — nieraz w karykaturalnych wręcz kształtach — zachodzi na tle próżności, rodząc typy parwenjuszów, pyszniących się galerjami antenatów, popisujących się wytwornością manier i naśladujących zwyczaje t. zw. „wielkiego świata" często z precyzją, w której są „plus pape que le pape"; występuje ono jaskrawie w dziedzinie sztuki—bądź w niewolniczem uwielbieniu importowanych z za morza rozmaitych „izmów", bądź w pseudo-znawstwie amatorów kolekcjonujących t. zw. „arcydzieła" albo fałszywych melomanów, jak pacierz powtarzających zachwyty nad żadnej wartości istotnie dla nich nie mającej muzyką klasyczną i heroicznie wysłuchujących wykonania dzieł, „które trzeba słyszeć".

Jest snobizm mody, głupi bezdennię, a zwłaszcza u pięknej połowy rodu ludzkiego do gigantycznych rozwinięty rozmiarów, snobizm uczuciowości (jakże dalekiej od dyskretnej uczuciowości istotnej!), snobizm subtelności i t. d.



Autoportret. W. Nowina-Przybylski.

T. Z. S. P. — Salon 1921.

Wreszcie wspomnieć tu trzeba o snobizmie, który można nazwać egzotycznym, polegającym na bezmyślnem naśladowaniu wzorów przez pierwszego lepszego chłystka przywożonych z zagranicy, na bezmyślnem chwaleniu wszystkiego, co stamtąd pochodzi i na wykpiwaniu i automatycznem ganieniu wszystkiego, co jest wytworem krajowym. Nawiasowo dodajmy małą uwagę pro domo sua: że w tym względzie nam — pseudo-kulturalnym a w rzeczywistości wielce jeszcze barbarzyńskim—polakom żaden chyba naród nie dorównywa. Wszędzie zagranicą polaka najłatwiej jest poznać po jego snobizmie, wyzierającym w każdym ruchu i akcencie. Nieustanne komiczne pretensje „francuzów północy" do tytułu „małego Paryża" dla Warszawy, groteskowe paralele pomiędzy szykiem paryżanki a warszawianki, wreszcie choćby tegoroczne parodje paryskich foxtrott-teas z mozolną skrupulatnością wykonywane na warszawskich balach dość chyba mówią o tym naszym rodzimym defekcie.

Następnie wyliczyć można objawy tak rozpowszechnionej nienaturalności towarzyskiej, przyczem pozer dokłada wszelkich starań, by się właśnie jaknajswobodniejszym okazywać i rikoszet ten zdwaja tylko jego śmieszność. La Rochefoucauld podkreśla to, mówiąc: „Nic tak nieutrudnia naturalności—jak chęć wydawania się naturalnym", w innem zaś miejscu mówi o skłonności ludzi do przybierania tonu i postawy w ich mniemaniu stosownych ich stanowisku czy urzędom, lub wręcz tym urzędom i stanowiskom, ku którym aspirują. Czyliż nie znamy wszyscy owych stopniowań ukłonów, owego dyrektorskiego akcentu w głosie i prezesowskiego podania ręki, znamionujących świeżych dygnitarzy?

Dodajmy jeszcze kilka słów o bladze. Nie wdając się w szczegóły, zaznaczmy, że już to samo, iż znamy blagierów sympatycznych i blagierów nieznośnych, blagierów szkodliwych i niewinnych, już to daje miarę szerokości skali tego kłamstwa. Nieraz blagier sam pada ofiarą własnego zmyślenia i—zwłaszcza powtarzając je kilkakrotnie — zaczyna w nie święcie wierzyć, czyli właściwie, postępuje szczerze; zjawisko się komplikuje, wchodzą w jego skład rozmaite czynniki afektywne, znamiona temperamentu romantycznego, tak powszechna w nas skłonność do przesady i t. d. Przypomnijmy sobie nieśmiertelny typ Daudetowskiego „Tartarina".

Obok opisanej tu cechy subjektywnej — owej skłonności do udawania, nieprzebranem źródłem naszych codziennych kłamstw są nasze t. zw. wierzenia, zasady, zwyczaje i tradycje,—pojęcia, określenia narzucane ludziom od kołyski, a będące istotnie jeno szkieletami bez ciała i sztucznie balsamowanemi mumjami bez życia. Na zmurszałych deskach i cegłach byłejak cementem umówionych wartości spojonych opiera się cała budowla naszych zasobów pojęciowych.

Automatyzm wewnętrzny jest rzeczą tak powszechną, że ludzie zgoła nie zdają sobie sprawy z tego, czem jest prawdziwa wiara i żywe pojęcie; dla małych epizodów i drobnych okoliczności ich życia najzupełniej wystarczają owe liczmany, fiszki i etykiety oznaczające treść faktów i figur; w rzadkich okazjach następują kolizje, zresztą skwapliwie zażegnywane powrotem do wyznawania komunałów i do bezmyślnego myślenia.

Głównemi czynnikami tego stanu rzeczy są: przyzwyczajenie, skłonność do obierania linji najmniejszego oporu i poważanie dla wszystkiego, co utarte latami i uświęcone autorytetem tradycji. Dodajmy do tego zwodniczość wyrazów, płynącą poczęści z ubóstwa słownictwa, poczęści z tendencji przywiązywania do pewnego typu pewnych stałych określeń, do nalepiania jednakowych etykiet na wszystkich jednostkach do owego typu, chociażby tylko słabo zbliżonych. Tak np. jesteśmy skłonni stale nasze uczucia, nawet najbłahsze, wyrażać w superlatywach, nie troszcząc się o ścisłość ani o subtelności poszczególnych odcieni. Stąd tyle rzeczy jest „wspaniałych“, tyle osób „uroczych“ albo „zacnych“ i t. p., tak często mówimy o miłości, choć jak zauważył La Rochefoucauld, „miłość użycza swej nazwy niezliczonej ilości zjawisk, w których nie bierze większego udziału, niż Doża—w tem, co się dzieje w Wenecji“. Podobnież bardzo często wierutnemi absurdami i nonsensami są epitety ludzi solidnych lub kobiet uczciwych. Co do terminów wpajanych dzieciom i ludziom poczciwym, zauważmy, że żołnierz jest zawsze dzielny, kapłan czcigodny, przedsiębiorca energiczny, ojciec—prawy, starzec zacny i szanowny i t. d.

Tu wspomnijmy o przesądzie „de mortuis“, o bezmyślnym automatycznym szacunku dla siwej głowy, bez zastanowienia się, czy w tej głowie coś jest, o identyfikowaniu go-

dności z osobą, która ją sprawuje, o namaszczeniu z jakiem koniecznie musimy przystępować do dzieł poruszających podniosłe tematy i t. p. W tej dziedzinie niezrównanym wręcz wzorem hypokryzji jest prasa. Weźmy pierwszy lepszy numer dziennika, zwłaszcza takiego, co pompatycznie służy ideałom, sieje zdrowe ziarno i krzepi umysły filistrów. Jakie tam wszystko gładkie, jak comme il faut, jak respectable! Umrze jakiś żdzierca-kupiec, dorobiwszy się fortuny na brudnych spekulacjach; za życia niemal wszyscy złodziejem go nazywali w cichych rozmowach prywatnych; w sążnistym nekrologu pozgonnym czytamy, że „oto odszedł w zaświaty jeden z cennych filarów naszego kupiectwa, wzór energji i zabiegliwości. Przytem choćby to był najgorszy egoista i sknera—na cierpliwej bibule nieuchronnie nazwą go „prawym obywatelem, który całem sercem służył umiłowanej ojczyźnie“ i „cichym filantropem, który dawał wiele i wspomagał nędzę, skromnie unikając rozgłosu“.

Tak samo dla zmarłego pisarza, choćby krzty talentu nie posiadał, zawsze znajdzie się łezka rozczulenia i panegiryk opiewający, jak wiele w nim tracimy. Podobnież i najmarniejsze sztuczydło, byle było „dziełem o temacie narodowym“ zawsze otrzyma ciepłą wzmiankę nawołującą publiczność do zgotowania mu obowiązkowego succès d'estime.

Na tem podłożu plenią się niezliczone przesądy ludzkie, z których najjaskrawsze są te, które się tyczą: zaszczytów i pieniędzy.

Widzimy na każdym kroku jaki zaszczyty i pieniądze, pomimo wszelkie zarzekania się, magiczny wpływ wywierają na ludzi. Tu najczęściej postępowość i wyzwolenie od przesądu sztucznie się podtrzymuje faute de mieux u tych, co owych zaszczytów i majątków są pozbawieni i znajdują się w sytuacji owego lisa filozofującego na temat winogron, których nie mógł dosięgnąć.

Drugą grupę zjawisk stanowią nasze sądy wyrażane w rozmowach o bliźnich, gdy błąd sąsiada zauważamy w całej jaskrawości i potępiamy stentorowym głosem, zalety zaś jego usiłujemy obniżać, zawsze jakieś mętne źródło, jakieś podejrzane dessous, wynajdując, co nam bez trudu przychodzi. Natomiast te same choćby fakty, gdy nas samych się tyczą, całkiem innej doznają od nas interpretacji.

Tu należy wspomnieć o plotkarstwie, do którego imponującego rozkwitu przyczynia się też bezczynność i brak zainteresowania poważniejszemi sprawami. Zauważmy przytem doniosłą rolę jaką ta wada, acz w niewinniejszym kształcie bardzo niedaleko leżąca od hipokryzji i oszczerstwa, odgrywa w życiu towarzyskiem, zauważmy tę osobliwość, że ma dar zbliżania ludzi między sobą. Jeżeli dwie osoby, które się zetknęły, nie są pewne swej wzajemnej sympatji, wystarczy, by zaczęły obmawiać trzecią osobę, a natychmiast wytwarza się między niemi miły prądzik porozumienia. Kobiety zwłaszcza z lubością oddają się tej bezczynnej zabawce, tak, że w wielu środowiskach rozmowa upada z chwilą zaprzestania plotek. „Cóżbyśmy czynili w salonie, woła Dromard, gdyby po umilknięciu pochlebstw plotki nie przyszły nam w sukurs? Naogół biorąc, jeżli kto chce zyskać sympatję niewiast, powinien przerywać wychwalanie ich w drugiej osobie tylko po to, aby je ganić w trzeciej".

Po tej uwadze powróćmy do rozpatrywanej grupy kłamstw. Owe sądy stronne, w których, jak powiada Lemański, „bliźnich swoich omawia się czyny, dotąd, aż się niezbicie ta prawda utrwali, że oni źli i czarni, my — dobrzy i biali", w których „przyjemnie to jest mniemać, że w całej guberni, my tylko twardej cnocie zostaliśmy wierni; gdy zło kto zrobił z nas, to dzięki złych intrydze, ale samiśmy zdrowi moralnie jak rydze" owe sądy zawzięcie są powtarzane przez ludzi, zgoła nie usiłujących nawet zdawać sobie sprawy z własnego komizmu.

Każdy przypadek jest mi zasłużoną nagrodą i niejako normalnym rezultatem moich zabiegów. Jeśli natomiast brak mi energji czy choćby powodzenia i zamiarów swych urzeczywistnić nie mogę, wnet wywracam kota ogonen, zaznaczając swą wzgardę dla moralności tego świata. Kiedy nasz upór zda się nam użytecznym, zwiemy go wytrwałością, lecz niech nam tylko cudza wytrwałość stanie przed oczyma—nazywamy ją uporem. Nasze tchórzostwo mianujemy przezornością, przezorność innych uważamy za tchórzostwo. Bez liku możnaby mnożyć przykłady tej dwulicowości, którą świetnie odmalował Ibsen w swej „Dzikiej kaczce". Mam na myśli scenę, gdy Hialmar opowiada Grzegorzowi jak Ekdal, mając być uwięzionym, powziął zamiar samobójstwa. „Czyż chciał?"

zapytuje Grzegorz. „Tak, odpowiada Hialmar, lecz nie starczyło mu odwagi, okazał się tchórzem“. Otóż on sam wykonał był ten sam gest w podobnej sytuacji. „Ty także chciałeś?“. „Tak!“ „Ale nie strzeliłeś“. „Nie, w chwili decydującej odniosłem zwycięstwo nad samym sobą“.

Ta tendencyjność, to naginanie rzeczywistości stosownie do swych potrzeb i upodobań jaskrawo występuje w wyznaniach wiary konserwatystów, solidnych zwolenników zawsze dawnego ładu i piorunujących na chorobliwe poczynania zgubnych nowatorów i szkodliwych wywrotowców, jakiemi w czambuł mianują wszystkich ludzi postępu.

Trzecią wreszcie grupę rozpatrywanych tu zjawisk stanowią kłamstwa pracowicie uszeregowane i rozwinięte do potęgi całego systematu, wzywającego wielce kunsztowną djalektykę, byle á tout prix, zgóry zakreślonej, rezultat osiągnąć.

Tak powstała sofistyka starożytności i scholastyka średniowiecza.

MICHAŁ GABRYEL KARSKI.



3) # Pokrakowska pomsta.

(Dalszy ciąg).

W mowie swojej z dnia 13 Maja w Izbie Gmin wygłosił Lloyd George także kilka zdań, nad któremi przeszło się szybko bez rozstrząsania, ale które bądź co bądź czytała we wszystkich językach cała ludzkość, a cała rasa anglo-saska dobrze je sobie zapamięta. Stwierdziły te słowa dokumentarycznie, że Anglja wrogą wobec siebie tempore belli postawę „małych narodów“ czasami wybacza, ale nigdy nie zapomina.

Jeden z ustępów odnośnych brzmiał:

„Jak słyszę p. Korfanty głosi, że Polacy górnośląscy raczej umrą, niż ugną się. Gdyby takie postanowienia Polacy byli powzięli wówczas, gdy toczyła się walka o niepodległość Polski byłoby mniej Anglików, Francuzów i Włochów straciło życie. Lecz Polacy powzięli takie postanowienia dopiero po rozbrojeniu i obezwładnieniu Niemców“.

Komu zawdzięczamy te zdania, które 14 Maja czytał cały świat? O jakich Polakach myślał dzisiejszy arbiter mundi? Dlaczego nie użył ściślejszego terminu: galicyjscy. Czyż ten zaciekły i stalowo prężny Kelt ważyłby się tak mówić o Czechach? Czyż ten angielski mąż stanu ważyłby się dać nam w krytycznym momencie takie pchnięcie w plecy i tak sponiewierać nas w opinji obu półkul i w tak dwuznacznem postawić nas świetle, gdybyśmy byli w porę zgnietli własnoręcznie obóz orjentujący się wedle wskazań idących tylko wyłącznie z gotycko-judejskiego Pokrakowa? Foreign - Office ma swoje archiwa. Tam leżą w tekach tłómaczone różne mowy Enkainitów krakowskich, Daszyńskich, Bilińskich, Jaworskich, Hupków, telegramy hołdownicze, tam są relacje dokładne o działalności prof. hr. dr. Roztworowskiego w Szwajcarji, o paszkwilach historycznych na Anglję Askenazego i Handelsmana, o agitacji galicjanderów Haussnera, Młynarskiego i Dąbskiego w Ameryce, o mówkach książęckich w Potsdamie i prezydenturze świeżego profesora Wszechnicy Jag. Kucharzewskiego. W archiwum „Foreign - Office“ są i wyciągi z tej prasy krakowskiej, która podczas wojny ostatniemi obelgami obsypywała Belgję, Serbję, Rumunję, jeździła do



Dysputa. M. Szymanowski.

Z wyst. Klubu Artyst.

głównej kwatery Hindenburga, witała Wilhelma II, kusiła i monitowała „Warszawkę“ a która dziś nadal bezkarnie egzystuje. Galicjanin p. Bernstein z Kuryłówki (Namier) miał referat spraw polskich w M. S. Z. w Londynie i zdawał systematycznie relacje swemu szefowi. Francja nam przebaczyła z konieczności kontynentalno-terytorjalnych, bo na aljanse z nami jest skazaną. Ale angielski premjer skorzystał jeno ze sposobności, żeby przed światem wygarnąć co mu dawno na sercu leżało. Skąd czerpali swe moralne siły i swoją argumentację warszawscy, poznańscy, moskiewscy germanofile jak nie tylko i wyłącznie z brudnej cysterny wszelkich metternichowskich mądrości, z Mekki polskich mitteleuropejczyków z Krakowa? Pod czyją sugestją załamał się warszawski Lubomirski? Gdzie pouczano „realizmu“ tak naiwne bobie polityczne jak Ronikera, jeżeli nie w apartamentach „Czasu“? Gdzie to jeździło po instrukcje i natchnienie drugie bobię polityczne Wojciech hr. Roztworowski jak nie do redakcji „Czasu“ anno 1917? Gdzie major Dziewulski? Które pismo wynalazło potem receptę „umiarkowanego aktywizmu“ chytrego, zamaskowanego, „niezrażającego sobie opinji“ aktywizmu „w rękawiczkach duńskich“, kiedy germanofilstwo egzaltrutów: Moszczeńskich, Studnickich, Łempickich zbankrutowało? Które pismo z wytworną ironją traktowało uchwały z 28 Maja, powzięte przez oprzytomniałych i wytrzeźwiałych, „mądrych po szkodzie“ i po Chełmszczyźnie Galileuszów? Które pismo drukowało pierwsze dzieło semity-defetysty Barbussa jak nie kohn-serwatywny „Czas“? Które piśmidło rzygało inwektywami na Albion i kazało mu oddawać Egipt, Indję, Kanadę i Irlandję jak nie krakauerski „Naprzód“.

Przez pięć lat z rzędu krakauerska prasa powtarzała systematycznie to tylko, co znowuż 13 Maja b. r. wygłosił kanclerz niemiecki dr. Wirth t. j.: „Polacy zapominają o tem, że zawdzięczają Niemcom swą wolność“. To samo czytywaliśmy dzień w dzień i słyszeli dzień w dzień od krakauerskich matadorów i emisarjuszów, nakłaniających do szybkiego tworzenia armji bez żadnych gwarancyj, bo i „nasi dziadowie od Napoleona gwarancyj nie brali“. (Estreicher, Srokowski, Haecker). Zarzucił nam Lloyd George, że gdyby Polacy podczas wojny zdecydowali raczej zginąć, niż ugiąć się,

byłoby mniej Anglików, Włochów, Francuzów“, dodajmy jeszcze Belgów, Serbów i Amerykanów „straciło życie“. „Raczej zginąć niż ugiąć się“. Ależ ugiąć się, uginać się, być zgiętym w kabłąk, stać zgiętym „przy Tobie, Najjaśniejszy Panie“, to jest alfą i omegą całej rutyny politycznej krakauerów. Przed każdorazową siłą uginać się to ich napis na sztandarach na papierze listowym, na testamentach. Służyć na dwóch łapkach. „Czas“ krakowski giął się wpół przed Alborim, przed Adamsem, Kuckiem, potem kiedy jeszcze nie ufał w ustalenie się Piłsudskiego a przyjechał triumfalnie Paderewski, ugiął się przed „fortepianistą“ poczem niepewny wiatru wydrukował bardzo piękną wstępną i „natchnioną“ „modlitwę o wielkiego człowieka“ zionącą kryjomą antypatją do Piłsudskiego, by wreszcie uklęknąć i paść plackiem przed znów „naszym Piłsudskim“. Niech do Krakowa wkroczy jen. Horthy z Honwedami. Czas przyjdzie i przejdzie na unję Jagiellońską. A niech pansemityzm zacznie zwyciężać, dr. Beaupré będzie się uczył żargonu. „Zawsze służyć“, „uniżony sługa“, to jest godło politycznych krakauerów i tych wszystkich. co przeszli kiedykolwiek krakowską szkołę kohnserwatywną: a więc Ehrenbergów czy Rosnerów, Targowskich czy Tarnowskich, Mycielskich czy Halbanów, Germanów czy Haeckerów. Można sobie teraz wyimaginować jak tej rasy moralnej wielkie bractwo krakauerskie, zmieniające tylko guziki i obszywki liberji, ale nie rozstające się z liberją nigdy, drażniła indywidualność polityczna o tak może nawet nieznośnie i niefortunnie twardym grzbiecie jak Dmowski. Tu charakter może nawet przerysowany w swej nieugiętości, tam cały koncert, trust ludzi bez charakteru politycznego a przeważnie i prywatnego, dostojnych mydłków, kompromislerów, fortwurstlerów, układnych lizusów, krętaczy, rejentów Milczków, Lisiewiczów, wielkich mężów do małych businesów, dziewczyn do wszystkiego, mężów na miarę krawca wiedeńskiego, giętych mebli, na których siadał wygodnie wczoraj Wilhelm (Feldman)... dziś Witos. Tego Dmowskiego zwalczał Kraków polityczny dwadzieścia lat temu jako wszechpolskiego niepodległościowca i konspiratora, dziesięć lat temu jako panslawistycznego ugodowca, obecnie jako antysemickiego wroga Anglji. Kraków polityczny urobił mu fałszywą legendę integralnego antysemity, i nietylko antysemity. Kraków puścił paupersko-kłamliwą kaczkę, że na Dmowskie-

go, „który nas zaprzedał Francji“, „obraził się“ Lloyd George i od tego czasu ponosimy na polu dyplomacji klęskę po klęsce. Dopiero mowa premiera angielskiego z 13 Maja wykazała, którym to Polakom zawdzięczamy istotnie nie ulegającą kwestji agresywną i oficjalną nienawiść Lloyda.

Jeżeli jeszcze teraz Kraków polityczny, Kraków Estreicherów i Haeckerów, Tarnowskich i Mycielskich, Thonów i Drobnerów, Brylów i Stapińskich intryguje znowuż wszelkiemi metodami jawnemi i skrytemi, godziwemi i niecnemi aby żadną miarą nie dopuścić R. Dmowskiego do ul. Miodowej, to zapytujemy uprzejmie, jakie to są definitywne rezultaty zagranicznej polityki jego faworytów, wychowanków i pupilów: Wasilewskiego, Skrzyńskiego, a wreszcie i poniekąd Sapiehy? (zbelwederyzowanego ostatnio nieuleczalnie przez teścia ks. Andrzeja Lubomirskiego z Przeworska). Jakież rezultaty zabiegów dyplomatycznych celem stworzenia bloku państw nadbałtyckich z Polską na czele i innego znowuż tuza cham-pionka ludowców krakauerskich, lichego i niedokształconego dziennikarzyny parafialnego — a dziś prezesa Syndykatu dziennikarzy, wice ministra spraw zagranicznych i rygskiego peacemakera Dąbskiego? Co zdziałali dotychczas na swoich placówkach zachodnio-galicyjskiego typu i prozapji ambasadorowie Skrzyński w Bukareszcie, Szembek w Budapeszcie, Skrzyński w Madrycie. Dzieduszycki w Kopenhadze, Grabowski w Sofji, Wysocki w Berlinie, lub „vice-ambasadorowie“ Stefański w Białogrodzie, Biesiadecki w Gdańsku, etc. etc.? Czy do Waszyngtonu nie nadawał się więcej, jakiś demokratyczny działacz wielkopolski, niż forytowany przez Kraków galicyjski książe Lubomirski? Czy jest wogóle możliwem, aby jakieś stanowisko dyplomatyczne gdzieś kiedyś mógł przypadkiem dostać jakiś nie krakauerski Galileusz? Czy to są właściwi mężowie na właściwych miejscach z tej racji, że właściwie podsuflerowani bywają Belwederowi przez właściwie z pomocą krakauerskich pepeesów, właściwie rządzącą Polską mafię „Czasu“ plus P. K. P., plus P. S. L. A jakże tam zadebiutował fortunnie w Londynie dr. Wróblewski konfident Mutziusa, Oettingena, Andriana i Ugrona? Odprowadzany owacyjnie na kolej, elew długoletni „Czasu“ „ludowiec“, „Lukanus“ nasza „szara eminencja“, a w gruncie rzeczy szczwany i lisi arrivista typowo krakowskiego stylu

i horyzontu? Czy przyjął już tego dyplomatę i reprezentanta Polski król Jerzy na audjencji? Czy konferował już z tą „personą gratą" obrażony na Dmowskiego Lloyd George lub lord Curzon? Gdzież się w działalności tych przedestynowanych urodzonych dyplomatów krakowskich zamanifestowała dotychczas ta przysłowiowa „starszość", „wyższość", „wytrawność", „dostałość" krakowskostańczykowskiego treningu politycznego? Czyż nie jedynych już dosłownie jedynych i ostatnich przyjaciół i aljantów mamy w tej stolicy, w której ambasadę polską opanowali podstępnie endecy z Zamoyszczyzny na czele, „moskalofile" z Komitetu Narodowego, „Targowiczanie" obrzucani dzień w dzień błotem przez krakauerskich P. P. Sujków, dzielnicową bojówkę i „krasną awangardę" krakauerskich spadkobierców N. K. N. i bloku Namiestnikowskiego? Czyż aby tę jedyną polską ambasadę z prawdziwego zdarzenia zohydzić w opinji publicznej nie emulowali „viribus unitis" kamerdynerski „Czas',z karbonarskim „Naprzodem", przyczem „Czas" zdobył rekord przedrukowując rok temu pierwszy ze skroś żydowskiego „Manchester-Guardiana" fałszowaną listę subwencji rządu francuskiego dla Komit. Narod. dla Denikina! Jak wytrwale ryje wciąż tenże „Czas", stary sługus Habsburskich, Potockich i Tarnowskich pod wszystkiem i wszystkimi, co się wywodzą z Komitetu Narodowego, co nie są ostemplowani przez N. K. N.! Jak chytrze podkłada zdradzieckie miny pod „familję" Zamoyskich, ten sam „Czas", który w 1863 rył znowuż i intrygował pod Wielopolskim adorując „pana Andrzeja" i jego szlachecką warcholącą tromtadrację. Teraz oczywiście nie sam własnoręcznie, broń Boże, fi donc, ale longa manu przez zręcznie popychanych a pokumanych ludowców galicyjskich i pepsiuków ze Stradomia, Krowodrzy i San Salwatore... I niech nikt się nie łudzi tem, że Talmi-torysi i Talmód-erniści polityczni z „Czasu" ze swoją garstką prenumeratorów mają wpływy już ograniczone, że ten stary smok papierowy podwawelski wyciągnięte ma już wszystkie kły jadowite. Istnieje najspecjalniejsza solidarność dzielnicowa, koncertowy zespół a raczej zepsół harmonijny w imię zasady: „einzeln marschieren zusammen schlagen", który sprawia, że krakauerskie P. P. S., K. P. K., Piast, Dizraelici z „Czasu" i „Kurjera Polskiego" pozostając ze sobą w stałym konwentyklowym kontakcie, je-

żeli chodzi o znienawidzoną Endecję zaraz „robią przyjacielskie koło, małopolskie,.. zaczarowane: Z. Tarnowski bierze pod rękę Ignaca, Moraczewski szepce w kącie z kopertowym Baworkowskim czy jak mu tam, Rosner ściska się z Diamandem a Dąbski Jean z „Kurjerka lwowskiego“ puszcza telefon do „Kurjerka porannego“, gdzie gubernuje „honorowy Krakauer“ Ehrenberg-Jasnogorskij, którego wrodzona organiczna moral-insanity rozrosła się właśnie przez dziesięcioletnie terminowanie w prasie krakauerskiej.

Konserwatyści krakowscy więc, spadkobiercy ideałów i metod Pawła Popiela, Z. Wodzickiego, Walewskiego i S. Tarnowskiego *) choć już bezpośrednio i pozytywnie w defensywie, jednakże wpływy swoje przez kanalik biały K. P. K., zielony P.S.L. i czerwony P.P.S. na Warszawę i na Belweder mają jak mieli na Belweder wiedeński. Ale jest to już raczej kohn-serwa konserwująca wiernie dogmat wielkopański i szlachecki, że „bez żyda nie można sobie dać rady“. Familja, trzymająca w arendzie kohnserwatyzm krakauerskiego stylu t. j. Chylińscy—Rosnerzy, Estreicherzy—Starzewscy pod względem czystości rasy sarmackiej pozostawiają wiele do życzenia. Stąd też i ten duch modernistyczny krakauerskiego kohnserwatyzmu, te inklinacje semickie, ta bezustanna tolerancja dla ułomności Izraela i to protegowanie wszelkich Halbanów, Aszkenazów, Sarech, Benisów, Carów, Baderów i t. p. neofytów. Przesądów pod tym względem ni „zabobonów“ nie mają ni w taktyce politycznej, ni w życiu praktycznem; p. Franciszka Starzewska sprzedaje w r. 1919 dwa domy Benj. Szonker i Chaimowi Cohnowi, biorąc sobie zresztą przykład z p. Zofji z Długoszewskich Kubickiej, która również dwa domy sprzedaje Salomonowi Wolfowi. Spółka Radziwiłł—Żeleński sprzedaje swoje tereny Tislowitzom, a z kopertowych hr. Starzeńskich hr. Wężykowa sprzedaje także żydom swoje majątki. W hr. Potockiego z Łańcuta interesie „Towarzystwie Akcyjnem dla spirytusu i chemikalji“ naczelnym dyrektorem jest nadal żyd wiedeński Kapelusz, a w biurach i kantorach językiem oficjalnym jest nadal niemiecki. Krakowski konserwatyzm toleruje np. taki fakt,

---

*) Patrz broszury: „Polityka Stańczyków“ odbitka z Reformy Krakow. 1882 i „Otchłań“ broszura St. Buczyńskiego. Kraków 1892.

że kiedy na Wawelu odbywa się poświęcenie sztandaru 2 pułku szwoleżerów, po wbiciu pamiątkowych gwoździ, sztandar poświęcony z rąk ks. kapelana Kruszyńskiego bierze wiceprezydent Sare człowiek zesztą bez zarzutu ale żyd i ten z sztandarem z Matką Boską Ostrobramską w ręku wygłasza w katedrze wawelskiej okolicznościową mowę. I to nie razi nikogo. Zapewne że jest to tolerancja, ale zdaje się cokolwiek zanadto „zaawansowana", galopująca tolerancja.

Ta tolerancja doprowadza bowiem na innych polach do tego, że cały prawie węgiel, a moc nafty wyprzedała Galicja żydostwu niemieckiemu, że Fanto z Wiednia ma największe rafinerje, Rapaport z Wiednia Brzeszcze, a inne gwarectwa węglowe Guttmany, Springery, Oppenheimy. Ta tolerancja doprowadziła do tego, że np. w Pleśnej pod Tarnowem odbywały się ćwiczenia wojska polskiego z komendą hebrajską a w Krakowie po kawiarniach słyszy się czasem grupy oficerów polskich rozmawiających żargonem. Nie można się potem dziwić, że nasz poseł warszawski Grynbaum atakując ministra Skulskiego (Neuer Hajnt nr. 30, 1921) i zarzucając mu zbyt surowe i rosyjskie metody administracji wewnętrznej pisze dosłownie tak: przecież to rzecz szczególna, podczas gdy w innych ministerjach także p o l i t y k o m g a l i c y j s k i m dostają się teki, to ministerjum spraw wewnętrznych było zmonopolizowane dla poddanych rosyjskich, którzy uczyli się w Rosji jak zwalczać innorodców, a szczególnie żydów i rewolucjonistów rosyjskich". Ipsissima verba Grynbaumi.

Dlatego też nie dziwiłbym się wcale gdyby „ten gród królewski" stał się też główną „jaczejką" naszych sowieckich prądów. Zresztą pod tym względem ma ta twierdza antyendecka swoją bogatą przeszłość, a i w teraźniejszości bywały już prologi i debiuty. W tem mieście, z którego 30 lat temu apostołowali Bobrzyński i Popiel żelazny mus niewoli polskiej, w tem mieście w r. 1910 rezydowała cała dzisiejsza elita bolszewicka. Towarzysze Lenin-Uljanow, Zinowiew, Sobelsohn i t. d. mogli się jeszcze na plantach mijać z Tarnowskim i Klaczką, Tu ideowo wykuwał się bolszewizm w laboratorjach, gościnnie przez Austrję przyhołubionych terorystów emigrantów, by potem w lat kilka iść na Rosję i na Europę. Tu u hrabiów Pusłowskich mieszkał kuzyn Cziczerin, który tak się rozkochał w klejnotach architektonicznych Krakowa,



Hallerczyk. R. Zerych.

Z wyst. Klubu Artyst.

że rok temu słał pół miljona sołdatów-towariszczy na endecką Warszawę. Ale i w dzisiejszym Krakowie żywie sobie dość swobodnie propaganda bolszewicka i kwitną fiołki jaczejek na Kazimierzu i Stradomiu. Słynny Horwitz kiedy uciekł z obozu z Dąbia, kilka tygodni agitował bezkarnie. Tu proklamował sierżant Jauris w Lutym r. 1919 rządy rad robotniczo-żołnierskich. Tu działa swobodnie miljoner bolszewicki dr. Drobner i towarzyszka Landauowa, chef metalowców towariszcz Joffe. Krakauer krypto bolszewik Kaczamowski na spółkę z bolszewickim Bronsztatem zorganizowali na gościnnych występach w Warszawie „związek kolejowy", a statut jego zredagowali początkowo całkiem w bolszewickim duchu. Stąd z Krakowa pochodzi nie tylko p. Propper, późniejszy wydawca tych wszystkich rosyjskich pism za caratu, w których na nas judzili Żabotyński, Clemens (Kleinman) i inni, ale stąd także pochodzi z Krakauerskiej Galicji lumen bolszewicki Sobelsohn-Kradek-Parabellum, jak znowuż i w tem miasteczku uroczem kołysała się kolebka redaktora „Godziny Polskiej" Cezara Zawiłowskiego i wielu innych pomniejszych gadzinowców, rozpełzłych podczas wojny europejskiej po całej Polsce...

Zważywszy to wszystko, nie można się potem dziwić, że publicysta znający a u f o n d i e x a u t o p s i a krakauerski organiczny zanik instynktu polskiego, korupcję partyjno-polityczną, płaski i plugawy oportunizm, służalczość każdoczesnej sile lub większości, wrodzonę dziedziczne tchórzostwo i ugodowość, podgłupiastą megalomanję tych małomieszczuszków, ich gromadka moral insalisty w stosunku do semitów i t. p., dokłada w momencie krytycznym wszystkich sił, aby Polskę ustrzec przed malarją lodomeryjską, aby zakażeniu krwi w reszcie organizmu zapobiec, aby w najjaskrawszy sposób „alarmować przed czarno-żółtem niebezpieczeństwem"... A jeżeli kto jeszcze żywi iluzję, że tamtejszy „ludek", kmiotek bajecznie kolorowy włościanin z Wyspiańskiego i Tetmajera jest etnicznie czystym i moralnie nieposzlakowanym materjałem państwo-twórczym, ten dozna zawodu najstraszniejszego. Nie trzeba nigdy zapominać o r. 1846 i 63-cim, w którym kmiotkowie pod Tarnowem wiązali „polnische Insurgenten" powrósłami i na furach zakrwawionych przywozili starostom Milbacherowi i Brajndlowi... Nie trzeba zapominać o rzezi w Chorążanie Wielkiej i Małej. Nie trzeba nigdy zapominać,

że pierwszym pasterzem politycznym tych owieczek nieco zaparszywionych był konfident rosyjskiej żandarmerji Stojałowski! Tarnowianin. Kto chce raz psychologicznie wyrozumieć ostatnie wystąpienia sejmowe takich patalogicznych okazów kmiecej fauny okcydentalno-galicyiskiej jak posła Średniawskiego z pod Myślenic, przeklinającego Polskę za to, że ma płacić wyższy podatek gruntowy lub posła Bryla, rozbuchanego niedokształconego parobasa, rzucającego się z widłami od gnoju na arcybiskupa Teodorowicza ku uciesze 4 miljonów Ostejndów, temu polecam przeczytanie w „Gazecie Rolniczej", z r. 1919... wspomnienia p. Ryxa z jego pobytu w Galicji...; tam będzie miał wytłomaczone, czem się to dzieje, że Polska oficjalna otrzymała z Zachodniej Galicji najzajadlejszy typ chliborobów, ziemledelców, wyzwoleńców o najgruboskórniejszym egoizmie stanowym i stadnym i najtchórzliwszy, najustępliwszy i pozbawiony poczucia godności, typ obszarników, dziedziców i zżydzonych psychicznie jaśnie panów...

Otóż temu to zgalilejczeniu Polski temu narzuceniu Polsce oficjalnej mentalita lodomerica trzeba jeżeli już nie poniewczasie zapobiedz, to przynajmniej kłaść już tamy.

Momentem klinicznym a krytycznym, w którym najlepiej można obserwować i konstatować w jakiej mierze Państwo Polskie stało się przez dwa lata „the Greather Galicia" powiększoną i rozdętą Galicją, do jakiego stopnia metody i maniery krakowsko-galicyjskie zaaklimatyzowały się w Warszawie, jak szybko przesiąkliśmy krakauerską obyczajowością polityczną, jak młody organizm państwowy zaraził się szeroko gangreną partyjną mało polską ale dużo wiedeńsko-austrjacką, są perjodycznie potwornie często powtarzające się przesilenia gabinetowe. Wtedy rozpoczyna się sarabanda partyjna „auf bekannte Muster", „ganz wie an der schönen blauen Donau". Gazety warszawskie czyta się jakby przetłomaczone z wiedeńskich press, journalów i blattów z przed lat 10. Targi. przetargi, „handryczenia" się, do ut des, ręka rękę myje a na obu pomyje, niespełnione obietnice, łamania umów, bloki nocne i dzienne, w gębkach i na zębach: ojczyzna w niebezpieczeństwie! w oczach wilczy głód tek, karjer, synekur, koncessyj, a wszystko jakiś potworny kontredans pigmejów, pokraków i pokrakowiaków, jakiś taniec świętego Wita czy Witosa... Normalny Polak w takich dniach siwieje. Gdyby marka pol-

ska pod rodzimą lodomersko-krakauerską okkupacją i pod genjalnym przewodem mało jeszcze polskich dyplomatołów i politykierników nie spadała tak na łeb na szyję, emigrowałoby z Polski to co szlachetniejsze i zdrowsze tam choćby, gdzie pieprz na piaskach rośnie, gdyż tęsknota za ojczyzną wypędzałaby ich z kraju", jak się to mawiało za czasów romantycznej emigracji. Obrzydzenie do tego wzorowanego na Widniu galimatjasu zalewa formalnie duszę, błoto kalekich i karlich ambicji i ambicyjek wlewa się w uszy i w oczy, a wszyscy tęsknią za jakimś Herkulesem, któryby opuścił swą maczugę na łeb hydry lodomeryjskiej i oczyścił potem tę stajnię Austry-giaszową, ten „nowy Wideń nad Wisłą".

d. c. n. *ADOLF NOWACZYŃSKI.*

PRZEŹROCZA.

JESZCZE JEDNO „SŁOWO".

Nasza pusta logomachja co raz puszcza na rynek nowe „słowo", obowiązujące jak moda i starych capów i młode cielęta. Obecnie mówi się wraz z obywatelem Witosem „nie bądźcie pesymiści, gubicie kraj".

Najgłówniejszy spryt żydo-bolszewizmu polegał na tem, aby wyprodukować jaknajwięcej wspólników w swoim interesie, bo wtedy kruk krukowi oko wykłóć się lęka. Oczywiście wszyscy wspólnicy są optymiści. Na pesymistów — czrezwyczajka!

Jeżeli mówią ci, że to lewo, to choćbyś przysiągł, że to prawo mylisz się, jest to lewo.

Jeżeli waluta nisko stoi, nie stoi, ale leży, nie leży ale prawie jej niema, ciesz się, bo wszystko dobrze.

Jeżeliś stracił Gdańsk, Mazury, Warmię, kawał Śląska i t. d. dziękuj rządowi, on jest najlepszy z rządów. Bo któż by wziął po Bekwarku lutnię? Biedactwo chciało dobrze, ale nie umiało.

Twój mózg nie jest od tego, aby patrzył, uważał, wnioskował, żądał i rozkazywał sercu. Masz, i to w imię ojczyzny, lud ślepy i niemy i głuchy i głupi. A jeżeli cię okradli z grosza i z ubrania, dziękuj Bogu. że uratowałeś życie.

Jest jeden sposób, aby was umoralnić, mawiał Fryc zwany Wielkim, to jest zrobić was żebrakami, a dostaniecie się do Królestwa Niebieskiego.

Jgr.

BIBLJOGRAFJA.

Książki nadesłne do Redakcji:

Zdzisław Żdziarski: Wrażenia z Górnego Śląska. Spostrzeżenia osobiste uczestnika akcji plebiscytowej na Górnym Śląsku. — Wyd. Księgarni Ziemi Mazowieckiej w Płocku. 1921 Str 32.

Józef Andrzej Teslar: O wartościach i znaczeniu polskiej kultury wojskowej. Wyd. Krakowska Spółka wydawnicza. Kraków 1921. Str. 16.

Homera Iljas. Przekładał Jan Czubek. Słowo wstępne K. Morawskiego. Wydanie zupełne. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Warszawa. Str. 558.

Betten R: Hodowla kwiatów w pokoju. Przekład według 5-go wyd. oryginału, z wieloma ryc. Str. 290. Wyd. M. Arcta Warszawa 1921.

Borowski Wł. M. Wykład psychologji ogólnej w zastosowaniu do wychowania. Cz. I. Psychologja poznania. Wyd. II. rozszerzone i uzupełnione rysunkami. Str. 180. Wyd. M. Arcta. Warszawa 1921.

Józef Relidzyński: Pędząca sława. Wiersze i fragmenty. Wyd. Główna księgarnia wojskowa. Warszawa 1921. Str. 124.

Treść zeszytu XII-go.

Do zeszytu dołączony jest Nr. 11 „Gospody Poetów“, jako bezpłatny dodatek. (Za redakcję „Gospody Poetów“ odpowiedzialność ponosi wyłącznie jej redaktor *Radosław Krajewski).*

Warunki prenumeraty:

W stolicy i w kraju: Kwart. Mk. 320. Za gran. i w Ameryce: Kwart. Mk. 500 Dolicza się kwart. w Warsz. za odnosz. Mk. 20, w kraju za przes. pocz. Mk 40, zagranicą i w Ameryce Mk. 60.—Cena oddzielnego zeszytu Mk. 60

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 38.

Adres Redakcji i Administracji:

Warszawa, Nowy-Świat № 40. Telef. 319-87.

Redaktor Naczelny wydawnictw Polsk. Poster. Wyd. „Placówka“: WALENTY ZIELIŃSKI.

Członkowie Komitetu Redakcyjnego: IGNACY OKSZA GRABOWSKI. GUSTAW OLECHOWSKI, STANISŁAW PIEŃKOWSKI.

Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, ul. Zgoda 5.